

Wieczory Rodzinne

Nº 10

DZIAŁ DLA DZIECI

8 marca 1913 roku.

Kołysanka dla braciszka.



Przyniósł bocian braciszka,
A, a, braciszka,
Co jest mały jak myszka,
A, a, jak myszka.

Nosek ma jak migdałek,
A, a, migdałek,
Oczka jakby z zapalek.
A, a, z zapalek.

Buzia niby wisienka,
A, a, wisienka,
Szyjka biała i cienka,
A, a, i cienka.

Nóżki ma jak u żabki,
A, a, u żabki,
A paluszki jak grabki,
A, a, jak grabki.

Śpij braciszku kochany,
A, a, kochany,
Od Boziuni nam dany,
A, a, nam dany.

Niech nad jasnem twem czołkiem,
A, a, twem czołkiem,
Czuwa Bozia z Aniołkiem,
A, a, z Aniołkiem.

Władysław Bełza.

BUDRYS.

c. d.

Mówiła dalej:

— Z bratem moim w wiecznej byli niezgodzie, brat sprzeciwiał mu się nieraz, płatał mu figle, a Budrys wtedy pokazywał zęby i zaledwie go łagodnymi słowy, mogłam uspokoić. Brat mój był bardzo silny, raz schwycił psa, mającego już wtedy sześć miesięcy i mało co mniejszego jak dziś, za kark i potrząsnawszy nim silnie, zawołał mu głośno nad uchem:

— Brzydki złośniku, psie niedobry, niecierpię ciebie i jeżeli nie przestaniesz szczerzyć zębów, obiję cię tak, że pożałujesz, żeś mi wlażł w drogę.

— Z tymi wyrazami odrzucił psa od siebie, aż się ten potoczył daleko.

Zdziwiony Budrys, podniósł się, długo patrzył na brata, poczem otrząsnął się i położywszy się około pieca, wzgardliwe rzucił mu wejrzenie.

Już cały wieczór nie ruszył się, na wołanie nie odpowiadał, nie jadł, nie pił, aż kiedy powróciłam do domu, do mnie się zbliżył, zaczął skomleć boleśnie, patrzeć mi w oczy, a z jego oczu płynęły łzy.

Nie mogłam zrozumieć kto mu zrobił krzywdę, aż mi opowiedziano zachowanie się mego brata, Adolfa.

Od dnia tego, pies go unikał, kiedy ten wchodził do pokoju, pies albo pokój opuszczał, lub obojętnie kładł się odwrócony od niego, udając, że go nie widzi.

Brata to mego wielce gniewało, a wskazując na psa do mnie mówił:

— Uparta to bestja, ten twój ulubieniec, wartoby go za to skarcić.

Pies podniósł łeb i warknął silnie, a potem zaczął przeraźliwie szczekać.

— Milczeć! — krzyknął Adolf w gniewie i porwał za szpicrutę.

Lecz Budrys podniósł się, oczy mu krwią zaszły, był straszny, gotował się do skoku i kto wie, co by się było stało, gdybym nie podbiegła do psa i nie otoczyła go ramieniem, uspakajając, mówiłam:

— Nie gniewaj się Budrysku, bądź dobry, brzydko być takim złym! Mój piesku, mój, wszakże to mój brat!

Pies uspakajał się powoli, lecz złagodniał dopiero wtedy, kiedy Adolf opuścił pokój.

Przeszło parę miesięcy.

W zeszłym roku przyjechaliśmy tutaj wszyscy na lato.

Brat był dla Budrysa pobłażliwszy, ale pies nie mógł się do niego przekonać, unikał go.

Pewnego dnia w lipcu, upał był nieznośny, a zbierające się chmury, zapowiadały burzę. Złowroga cisza zapanowała w powietrzu. Brat codziennie używał kąpieli w rzece i dnia tego też się wybierał, nie słuchając przestróg i prośb naszych że burza może za chwilę wybuchnąć.

Zaledwie wyszedł, może w dziesięć minut, zerwał się wiatr, unosząc pył i gnał drzewa.

Matka nasza wielce zaniepokojona, chodziła od okna do okna, powtarzając:

— Ach ten Adolf, ten Adolf, dlaczego on poszedł?

Ja również za matką powtarzałam z obawą imię brata Adolfa.

d. c. n.

M. Kaczkowska.



O dwunastu zbójcach i nabożnym kmiotku.

BAŚŃ.

d. c.

Zawołał głośno raz i drugi, a nie widząc ani pana, ani sługi, przeląkł się trochę tej grobowej ciszy.

Lecz po niejakej chwili, skoro się znakiem krzyża uzbroił, jakaś błoga otucha w serce mu wstąpiła i już śmielej zaczął rozglądać się w około.

Później wlaźł sobie za piec szeroki „Kto się w opiekę” odmówił, ułożył się wygodnie i nie zadługo usnął sobie smacznie.

O samej północy, jakaś baba stara do chatki przydreptała, ogień jasny na kominie rozpałała i srebrne misy na stole rozstawiać zaczęła.

Wnet za nią z głośnym trzaskiem i hukiem wpadło do chaty dwunastu zbójców.

Każdy z nich wyglądał jak olbrzym, silny, barczysty, a byli tak strasznej postawy, że bez obawy niktby na nich spojrzeć nie potrafił.

Jeden z nich, może herszt, z worka złoto na stół wysypał i w dwanaście kupek zaczął je układać.

Kiedy go zbójcy obstąpili w około, oczekując niecierpliwie podziału, z za pieca dało się słyszeć chrapanie śpiącego kmiotka.

Przywódca pochwycił pałkę zbójceą, pobiegł czemprej za piec i całym zamachem śpiącego kmiotka uderzył.

Lecz oto stał się cud nad cudy — bo chociaż zbójca dobrze wymierzył, chociaż go trafił w samo czoło, kmiotek, nie tylko, się nie zbudził, ale dalej głośno sobie chrapie i sapie.

Przelękli się zbójcy; grzmotnęli go jeszcze z całej siły raz i drugi, ale widząc, że podróżny nie jęczy, nie krzyczy, przynieśli światło i ujrzeli, że był cały nakryty niby jakąś

przejrzystą, a jednak sprężystą zbroją, która go tak szczelnie osłaniała, że żadna siła ludzka ranićby go nie potrafiła.

Podumali zbójcy nad kmiotkiem chwilę, potem widząc, że go zabić nie mogą, podzielili się złotem, spać się pokładli, a tylko ich dowódca został na straży.

Gdy ranek zaświtał, ocknął się nasz kmiotek ze snu, ale gdy tylko oczy otworzył, zbroja z niego spadła i jak mgła niewidzialna w powietrzu zniknęła.

To jeszcze bardziej wszystkich zbójców zdziwiło, a chcąc poznać tę wielką tajemnicę, tak prosili i zaklinali kmiotka, aby jeszcze z nimi jedną noc pozostał, że rad nie rad musiał im uledeć.

Przez cały dzień tedy zbójcy kmiotka podejmowali hojnie i bawili i karmili, a nad samym wieczorem tak winem spoili, że nieborak do snu układając się, zaledwie do połowy „Kto się w opiekę“ zmówił i zasnął.

Ale oto stał się cud drugi!

Kmiotek wprawdzie był okryty mglistą zbroją, ale już nie cały jak wczoraj, tylko do połowy ciała.

Co widząc zbójcy, za noże pochwycili, do kmiotka przystąpili i zabić go pragnęli, lecz przywódca na to nie pozwolił i do jutra zaczekać rozkazał.

d. n.



Przez obawę śmieszności. c. d.

Dziewczynka nasza tak była tem strapiona, że gdy nadeszła niedziela i dzieci zwykłym trybem miały ze szkoły iść parami do kościoła na nabożeństwo — postanowiła nie brać żadnej mufki.

— Starej nie wezmę — myślała — bo naprawdę jest brzydka, a nowej nie chcę, bo musiałabym przez cały czas drogi do kościoła i nabożeństwo trzymać ją wobec tych niedobrych dziewczynek, które nawet w kościele i na ulicy nie dałyby mi spokoju.

I korzystając z tego, że mama była zajęta gospodarstwem i nie miała czasu zwrócić baczniejszej uwagi na jej ubieranie się, wybiegła z domu bez ciepłej ochrony na ręce.

Nasunęła coprawda mitynki, aż do palców, lecz nie wiele to pomogło, gdyż mróz tego dnia był większy i ręce jej zmarzły tak mocno, że aż zimno za paznokcie zaszło i bolało bardzo.

Rozgrzewała je biedaczka jak mogła, zacierała, uderzała jedną o drugą, lecz syczała z bólu.

Zauważyła to idąca z nią w parze koleżanka i zapytała:

— Dlaczego nie masz mufki, przecież dzisiaj mróz?

— Nie chciałam żebyście się ze mnie i w kościele śmiały, a przytem nie wiedziałam, że tak zimno.

Koleżance żal się zrobiło Brońci, więc powiedziała uprzejmie.

— Weź moją mufkę, ogrzej sobie trochę ręce!

Brońcia innym razem nie przyjęłaby tej propozycji, lecz teraz dotkliwie zimno tak jej dokuczało, że z wdzięcznością schowała skostniałe rączki w ciepłym futerku.

Ale niedługo to trwało; po kilku minutach mufkę trzeba było oddać, bo choć dobra koleżanka jeszcze ją prosiła, że-

by z futerka korzystała, Brońcia widziała, że i Zosi marzną już ręce.

W takiej męce i bólu zeszła jej droga do kościoła i nabożeństwo, na którym z powodu zimna nawet pomodlić się należycie nie mogła. Zosia wprawdzie dała jej jeszcze raz swoją mufkę, ale przy wyjściu z kościoła, dziewczynki rozstać się musiały, gdyż mieszkały w innych stronach.

Brońcia niemal pędem biegła teraz do domu. O jakże żałowała, że obawiając się śmiechu, naraziła się na tak ciężki ból, a może i odmrożenie rąk, gdyż traciła już w nich władzę i czucie!

Wiedziała, że w takich razach trzeba odmrożone członki rozcierać, bić w nie, więc czyniła, co tylko było w jej mocy, a w głowie, aż szumiało jej z bólu.

Dopada nareszcie domu, wbiega w podwórze i do sieni chce ująć za klamkę, ale zdrętwiałe, sztywne palce odmawiają jej posłuszeństwa.

Na szczęście mama była blisko drzwi, usłyszała szmer w sieni, więc drzwi otworzyła i Brońcia z krzykiem bólu wpadła do ciepłego mieszkania, płacząc głośno.

— Co ci jest? — krzyknęła przestraszona matka, chwytając córkę w objęcia.

— Ręce! ręce! — jęczała Brońcia podnosząc je w górę.

Przerażona matka obejrzała je, a one są prawie białe i sztywne, czemp prędzej więc poczęła je silnie trzeć, poczem kazała jej trzymać ręce w miednicy z zimną wodą, a sama wybiegła na dwór, skąd po chwili wróciła, niosąc w misce pełno śniegu i śniegiem tym rozcierała ręce Brońci póty, aż się zaczerwieniły, odzyskały czucie i swobodę poruszania.

— Coś ty dziewczyno narobiła! Dlaczegoś nie wzięła mufki? — zapytała wreszcie matka, ochłonawszy z pierwszego przestachu.

Brońcia wtedy nawpół z płaczem opowiedziała matce wszystko.

— Ach! ty niemądre stworzenie! Chodzisz do szkoły i taka nierozsądna jesteś, że zwracasz uwagę na złość i że tak powiem, głupotę innych! A toć one pośmiałyby się jeszcze dzień, dwa i wreszcie sprzykrzyłoby się to im; a przytem przygotuj się na to, że w życiu ludzie nieraz i w ważnych rzeczach śmiać się z ciebie będą i dokuczyć też mogą. Trzeba mieć rozum i nic sobie z tego nie robić, bo ludzkich uwag wtedy tylko słuchać należy, gdy robimy coś niewłaściwego, albo złego, a tak, widzisz coś sobie narobiła: przez obawę śmieszności i to urojonej, odmroziłaś sobie ręce, a mogłaś nawet zostać kaleką, bo niewiele już do zupełnego odmrożenia brakowało.

— Jakto kaleką? — spytał dziewczynka blednąc.

— Kalestwo nastaje wtedy, gdy po odmrożeniu niema umiejętnej pomocy, więc aby ratować życie człowieka, musi doktor odmrożone członki odejmować.

Brońcia wstrząsnęła się z przestachu.

Ręce jej, choć się niby rozgrzały, poczerwieniały, jednak mocno i obrzękły, a w nocy bolały ją tak bardzo, że spać nie mogła; wzdęły się na nich pęcherze, sprawiające przy dotknięciu silny ból.

d. c. n.

Świerszcz.

